

Przedstawiamy Państwu fragment książki, przygotowywanej do druku przez Jacka Pałkiewicza. W książce znajdzie się również rozdział na temat Jerzego Kukuczki, największego polskiego alpinisty, który zginął niedawno na południowej ścianie Lhotse. To jakby ostatnia rozmowa z mistrzem wspinaczki (spisana w ubiegłym roku).

TEN nad wyraz spokojny człowiek rzadko się uśmiecha, a jeszcze rzadziej odzywa. Tym razem spotykamy się we Włoszech, dokąd Jurek przyjechał na kilka spotkań autorskich i rozmowy ze swoimi sponsorami. Drogę Warszawa—Bassano del Grappa pokonał w dwa dni. Niby nic wielkiego, tyle tylko, że ma ze sobą 126 paczek, paczuszek, plecaków, namiotów i innych, niezbędnych w górach rzeczy! W taki sposób podbija świat jeden z największych ludzi współczesnego himalaizmu.

Zawsze sprawia na mnie wrażenie człowieka, który gdzieś tam w głębi duszy posiada jakąś ogromną tajemnicę. Jego oczy jednak wyrażają pewność siebie i wielki spokój.

Na spotkaniach ze swoimi włoskimi sympatykami występuje zawsze tak samo ubrany: gruba flanelowa koszula, dzinsy i buty na gumowej podeszwie. Nie jest to żadna poza. On po prostu nie przywiązuje wagi do ubrania. Tak samo chodzą ubrani turyści na Kasprowy i tak wygląda jego strój „roboczy”.

Opalona wysokogórskim słońcem twarz, jasna broda i włosy, kępna sylwetka. Z całej niewysokiej postaci bije solidność i siła. Kiedy sięga po papierosy wprawia ludzi w zakłopotanie. — Jak to, ty palisz? — pytają zaskoczeni. Tylko na nizinie. Kiedy wjeżdża w góry, natychmiast rzuca palenie. W domu waży 73 kg i ma 68 uderzeń serca na minutę. W czasie wyprawy 63 kg i 48 uderzeń serca na minutę.

Pytany o wady przyznaje, że jest... leniwy. Jednocześnie dodaje, że potrafi na śmierć i życie walczyć o sprawy, które sobie zamarzył, w które wierzy. Sporo jest w nim sprzeczności. Na przykład z jednej strony cierpi opuszczając na długie tygodnie rodzinę, z drugiej robi to bez chwili wahania. Ma dwóch synów, dziesięcioletniego Maćka i pięcioletniego Wojtka. Żonie obiecał, że urlop spędzą nad jakimś pięknym i ciepłym morzem. Nie powiedział tylko — kiedy. Na razie wciąż pochłonięty jest górami. Jak zrodziła się jego pasja? Opowiadać zaczyna od początku.

GÓRY JAK MAGNES

— Urodziłem się 24 marca w Katowicach. Dzieciństwo spędziłem w Istebnej, w Beskidzie Śląskim. Mówiąc językiem gór, są to takie pre-Alpy, które z prawdziwymi górami mają niewiele wspólnego. Po powrocie do Katowic podjąłem naukę w szkole zawodowej, gdzie zacząłem uprawiać lekkoatletykę i wstąpiłem do klubu speleologów.

Moji trenerzy stwierdzili jednak, że jestem uzdolnionym ciężarowcem. Ale zrezygnowałem ze sportu i to bardzo raptownie. Stało się to po wycieczce w góry, z której wróciłem innym człowiekiem. Góry mnie zafascynowały.

Tymczasem jednak skończyłem szkołę i poszedłem do pracy w kopalni. Uczyłem się jednak dalej, wieczorowo. Z czasem przeszedłem do pracy w laboratorium kontroli przyrządów i urządzeń elektrycznych kopalni. W góry jeździłem, kiedy tylko czas na to pozwalał.

Jednym z najważniejszych doświadczeń była wyprawa w Dolomity. Zapamiętałem przede wszystkim zimowe wejście drogą „ideale” na południową ścianę Marmolada. To było 800 metrów bardzo trudnych technicznie. Tego samego roku zdobyłem jeszcze dwa autentyczne szczyty alpejskie. Na Bianco wyznaczyłem nawet dwie nowe drogi. Chyba właśnie wtedy, po raz pierwszy, poznano moje nazwisko.

Potem była Alaska i wejście na McKinley. Niezwykle ważne doświadczenie i mocne przeżycie. Zimno, burze śnieżne, przerożliwy wiatr — mimo to wraz z kolegami stanąłem na szczycie. Dużo trudniejsza była droga powrotna. Pięć dni spędziliśmy w zaizolowanym igloo i pod bardzo lichym namiotem. Byli-

Następne nauki pobierałem w Hindukuszu, w Afganistanie. To była świetna szkoła. Dzięki niej w 1977 roku mogłem wreszcie zrealizować moje najszybsze marzenie i zaatakować dach świata. Wraz z wyprawą katowickiego klubu postanowiliśmy zdobyć Nanga Parbat. Byłby to wtedy polski rekord wysokości. Niestety, nie udało się, mimo wielu ataków. Znowu odezwały się odmrozenia, sporo ta wyprawa kosztowała nas zdrowia. Musiałem czekać, ale zebraliśmy naprawdę wiele nowych doświadczeń.

Wróciłem w Himalaje po dwóch latach. Tym razem atakowałem skutecznie. W 1979 roku wszedłem na Lhotse i to bez tleny. Tak rozpoczęła się moja życiowa seria.

Ludzie często pytają mnie, czy uważam się za człowieka gór. Sądzę, że do dzisiaj tak nie mogę o sobie powiedzieć. Nie dlatego, że mieszkam w samym centrum

no rozprawić o mojej rywalizacji z Messnerem. Ale ja właściwie byłem bez szans! Tylko przez chwilę, gdy Messnerowi nie powiódł się atak na Makalu, zbliżyłem się do niego na odległość dwóch szczytów, 10:12. Miałem jednak dużo mniej czasu od niego, zbyt wiele dystansu straciłem wcześniej.

Wrzawa wokół tej rywalizacji sprawiła, że pojawili się pierwsi sponsorzy moich wypraw. Od tego momentu łatwiej mi było skompletować sprzęt czy załatwić inne sprawy. Bardzo sobie cenię, do dziś, współpracę ze znanymi firmami włoskimi Camp i Bairo, które właśnie wtedy wyszły do mnie z propozycjami. — Podczas moich pierwszych wejść w Dolomitach z zazdrością patrzyłem na wystawy sklepowe, na których pyszały się wspaniałe kurtki i sprzęt. Wtedy nie było mnie stać na zakup. Dzisiaj firmy same ubiegają się o reklamę, prowadzą

tysięczniki wiele lat wcześniej. Poza tym jego możliwości finansowe (sponsorzy!) są nieporównywalne z moimi.

Wypowiedziano wiele krytycznych słów o sportowym charakterze himalaizmu. Większość wypowiadających się nie wie jednak, że podczas wspinaczki nie ma bezpośredniej walki z przeciwnikiem, nie ma agresywności. Himalaizm to więcej, niż sport, rywalizacja i coś jeszcze. Na pewno piękno! Za każdym razem, gdy mierzę się z górą przeżywam coś na kształt fascynacji miłością od pierwszego wejrzenia. Chcę górę poznać, krążyć wokół niej z szacunkiem, żeby się ode mnie nie odwróciła. Kiedy wszystko kończy się sukcesem, przychodzą szczęśliwe dni.

Bardzo często zadają sobie pytanie — dlaczego wyruszam w góry? Nigdy jeszcze nie znalazłem na nie odpowiedzi. Myślę, że to jest trochę jak w grze hazardo-

większą wartość niż szalone poświęcenie(...)

JAK WCHODZILI NA ANNAPURNĘ

Na zewnątrz minus trzydzieści stopni, w namiocie ciepłej, chociaż termometr wskazuje niewiele więcej niż minus piętnaście. Piękne opowieści alpinistów zawarte we wspaniałych albumach omiatają wiele trudnych tematów. W tych warunkach, nawet zwykła proza życia, jak choćby załatwienie potrzeb fizjologicznych, jest wielkim problemem.

Następnego dnia Kukuczka ze swoim wychowankiem Hajzerem wyrusza złożyć pierwszy obóz. Mają najwięcej sił. Niedawno atakowali Manaslu, więc aklimatyzacja pozostała. W grupie czuje się mnóstwo optymizmu. Ludzie gór są z natury pogodni. Oni przecież mierzą się z największymi trudnościami. Czy w tej sytuacji mogą ich załamywać jakieś drobne, codzienne kłopoty? Bogini Zapomnienia, czyli Annapurna w języku nepalskim, wciąż grzmi. Pamiętkowa płyta z nazwiskami niebezpieczników, którzy pozostali na zawsze ostrzeżenie: „Musisz uważać, w tym miejscu nigdy nie zaznasz spokoju...”

Wciąż czekamy na poprawę pogody, ale wiatr nie ustaje. Kukuczka jest twardy, nie chce odpuścić, decyduje się na następną wspinaczkę. Ruszają w płótkę, lekarz wyprawy odmroził sobie palce u nóg. Jest więc tylko czterech zdolnych do ostatecznej wspinaczki. Wanda Rutkiewicz czuje się gorzej. Kukuczka decyduje się dzielić grupę na dwie pary. Wyrusza z Arturem Hajzerem na szczyt. Mimo potwornej zamieci idą dalej i dalej. Na wysokości 7400 m rozbiłają namiot. Jest tak zimno, że na termometrze brakuje już skali. Następnego dnia przeprowadzą decydujący atak.

Czy wejście na najwyższe góry jest dzisiaj wyłącznie pasmem udręki i nieszczęść? Tak to wygląda z opisu. Tylko pozornie. Człowiek rzeczywiście rzuca sobie coraz trudniejsze wyzwania. Już nie satysfakcjonuje go wejście z tlenem w kilkunastoosobowej grupie z tłumem trasarzy. Próbuje jeszcze trudniejszych metod. Tym samym bogarsza swoją sytuację, ale dodaje splendoru. Wielcy himalaści balansują na coraz ciejszej linii nad przepaścią. Ich wielkość polega na tym, że wiedzą, w którym miejscu należy się zatrzymać.

Tak jak Kukuczka. Jurek miał już w swojej karierze takie sytuacje, gdy półprzytomny na skutek choroby wysokościowej musiał wejść na szczyt... bo tylko z drugiej strony była jedyna droga zejścia. I mimo odmrożeń dokonał tego. W potwornej zamieci śnieżnej spędził zimą pięć dni pod szczytem na Alasce w maleńkim namiocie. Wygrał.

Teraz też zwyciężył. Niemal w alpejskim stylu następnego dnia zaopatrzeni wyłącznie w niezbędne rzeczy zdobywają z Arturem szczyt. Zwycięstwo jest sukcesem całej ekspedycji. Ogromna radość i ulga. Aż do następnej wyprawy, gdy będą próbowali dokonać jeszcze większej rzeczy.

Jacek E. PAŁKIEWICZ

NAJWAŻNIEJSZE JEST LUDZKIE ŻYCIE



Z dwóch ryzykantów, którzy wchodzili dwa lata temu na Annapurnę, jeden — Jerzy Kukuczka — już nie żyje. Jacek Pałkiewicz (z lewej) nie wyobrażał sobie, że tak szybko straci przyjaciela...

my wyczerpani. Wtedy właśnie odmroziłem sobie nogę. Ta lekcja kazała mi później bardzo ostrożnie podchodzić do sprawy aklimatyzacji w górach i uważać na odmrozenia. Po wyprawie długo leczyłem się w klinikach w Plekarach Śląskich. Po latach mogę powiedzieć, że uniknięcie odmrożeń świadczy o ogromnej klasie alpinisty.

przemysłowego Śląska, w Katowicach, na IX piętrze. Ale dlatego, że zawsze mam mnóstwo innych spraw na głowie. Niezależnie od braku czasu, dzisiaj moje życie koncentruje się przede wszystkim wokół rodziny.

NA TLE MESSNERA

Po zdobyciu dziesiątego z kolei ośmiotysięcznika zaczęto głoś-

nie konsultacje przygotowując produkcję następnych modeli butów, namiotów czy kurtek. Szkoda, że ten deszcz dobrodziejstw nie spadł na mnie dwa, trzy lata wcześniej. Być może szybciej wszedłbym na wszystkie ośmiotysięczniki. Nie sądzę jednak, że tym samym mógłbym zdystansować Messnera. On, przede wszystkim, zaczął kolekcjonować ośmio-

wej — ciągle mierzenie się ze sobą. A może to tylko część prawdy?

Jeżeli ktoś nie czuje strachu w górach, powinien zostać w domu. Brawura jest największym wrogiem alpinisty, natomiast strach najlepszym kompanem. Po zwycięstwie zmienia się on oczywiście w wielką radość i satysfakcję. Nie odkrywam Ameryki, bo przecież wiadomo, że im większy strach, tym większa radość z sukcesu. Często przed decydującym atakiem nie mogę w namiocie zmusić oka ze strachu. Po co idę tam, gdzie jeszcze nikt nie stanął? A może właśnie ta góra okaże się mocniejsza ode mnie? Mnóstwo podobnych myśli nie daje mi zasnąć.

Ryzyko istnieje zawsze. Trzeba je ograniczać do minimum. Gdy dopadnie mnie nieprzewidziana zamieć śnieżna, która utrzymuje się, wole poczekać. Nawet wtedy, gdy schodzę ze szczytu i zaczyna zbyt mocno dmuchać, rozbijam biwak i siedzę kilka godzin albo dni. To bardziej bezpieczne niż brawurowe i bezsensowne schodzenie.

x x x

OSTATNIE lata przyniosły wiele tragicznych wypadków w Himalajach. Rozległo się wiele głosów na temat etyki alpinistycznej. Jaki element jest w nim najważniejszy? Co powinno być na pierwszym miejscu, a co na dalszym? Czy himalaista ma kłaść na szali własne życie, gdy nie ma najmniejszych szans uratowania kolegi? Najwięksi ludzie gór końca lat osiemdziesiątych są zgodni, że najważniejsze jest ludzkie życie. Pomóc koleźce w sytuacji beznadziejnej? To oznacza dwa trupy. Ludzkie życie musi mieć